

Marcin Nowicki

(Gdańsk 8 marca 2001)

Polityczny szlaban dla polskich pracowników

Przeciwnicy wprowadzenia swobody przepływu pracowników w krajach kandydujących do Unii Europejskiej mówią o:

- drastycznym zwiększeniu migracji z krajów Europy Środkowej i Wschodniej do "starych członków" wynikającym z przepaści rozwojowej pomiędzy najbogatszymi krajami UE a gospodarkami naszej części Europy (różnice w poziomie wynagrodzeń, standardzie życia);
- utracie miejsc pracy i wzroście bezrobocia wśród obywateli krajów Europy Zachodniej wskutek eksportu miejsc pracy w sektorach pracochłonnych - przeniesienie działalności produkcyjnej w tych sektorach do "nowych członków UE", gdzie poziom płac średnio dla dziesięciu kandydujących krajów stanowi zaledwie około 15 proc. średniego poziomu wynagrodzeń w UE;
- negatywnym wyrównywaniu poziomu wynagrodzeń (wyższe wynagrodzenia w Europie Zachodniej będą się obniżały wskutek dostępu taniej siły roboczej imigrującej z przystępujących krajów).

Decyzja o wprowadzeniu okresu przejściowego zamykającego na pewien czas unijne rynki pracy dla Polaków będzie miała przede wszystkim charakter polityczny. Inne stanowisko Komisji Europejskiej wywołałoby silne protesty społeczeństw, szczególnie Niemiec i Austrii, w których siła związków zawodowych jest bardzo duża i prowadziłyby do negacji samego sensu rozszerzenia Unii. Na podstawie racjonalnej argumentacji ekonomicznej, można bez trudu obalić przytoczone na wstępie tezy, budowane na gruncie fobii przed "najazdem" polskich pracowników.

Po pierwsze: nie będzie drastycznego zwiększenia migracji z Polski "na Zachód", ponieważ dla potencjalnych emigrantów ważniejsza od bezwzględnych różnic w poziomach dochodów jest perspektywa zamykania luki rozwojowej i wyrównywania się poziomów wynagrodzeń, nawet jeżeli liczona jest ona w dekadach, a także tzw. społeczna akceptowalność poziomu dochodów, na którą składają się między innymi: realna siła nabywcza dochodów, przyzwyczajenia, poziom życia "najbliższych sąsiadów". Mimo narzekań Polacy zauważyli, że ostatnia dekada przyniosła im prawdziwy skok w poziomie wynagrodzeń liczonym w "dolarach".

Po drugie: w przypadku najniżej wykwalifikowanych pracowników - których najbardziej obawiają się unijni związkowcy - skłonność do migracji jest niezwykle niska, a różnice w poziomach wynagrodzeń nie są na tyle duże, żeby ją wyraźnie zwiększyć. Poza tym w niektórych branżach w UE już dziś oferuje się Polakom możliwość pracy, ponieważ brakuje chętnych wśród obywateli Unii (rybołówstwo, przemysł stoczniowy, budownictwo).

Po trzecie: również teza mówiąca o niebezpieczeństwie realokacji działalności produkcyjnej w sektorach pracochłonnych do "nowych członków" UE nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Przepływy kapitałowe w postaci bezpośrednich inwestycji zagranicznych są już od dawna zliberalizowane: badania pokazują, że inwestorzy zagraniczni w Polsce nie

kierują się dostępem do taniej siły roboczej, ponieważ zdają sobie sprawę z tego, że dość szybko (dla nich perspektywa 10-20 lat to "dość szybko") poziom wynagrodzeń zbliży się do poziomu unijnego. Ważniejszą sprawą dla większości inwestorów jest duży rynek zbytu.

Po czwarte: w wymianie handlowej następuje specjalizacja jakościowa, która w dużym stopniu niweluje niebezpieczeństwo wypierania droższych produktów z UE przez tańszą produkcję z krajów kandydujących. Najlepszym dowodem na to jest bardzo duża nadwyżka w bilansie handlowym UE z Polską.

Po piąte: bezzasadny jest również argument o niebezpieczeństwie obniżenia się poziomu wynagrodzeń w bogatych krajach UE wskutek dostępu do taniej siły roboczej. Aby wpłynąć na ogólny poziom wynagrodzeń, napływ pracowników musiałby być ogromny. Ponadto rynek pracy UE jest bardzo silnie regulowany, co w znaczącym stopniu zmniejsza jego elastyczność. Niemożliwe jest różnicowanie poziomów wynagrodzeń pracowników o podobnych kwalifikacjach i na podobnych stanowiskach, tylko dlatego, że pochodzą oni z innych krajów.